Ray Bradbury

Święto

(Holiday)

The Arkham Sampler, Autumn 1949
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Ktoś zasugerował do obiadu odrobinę wina. Charlie wyciągnął więc z piwniczki zakurzoną butelkę i odkorkował ją.

— Którą mamy godzinę? — spytał.

— Popatrzmy — Bill uniósł zegarek do oczu. — Mniej więcej siódma.

Trzej siedzący w kamiennym pomieszczeniu mężczyźni, przez całe popołudnie pili piwo, nasłuchując mruczącego w gorącej ciszy radia. Teraz, kiedy słońce już zaszło, ponownie pozapinali koszule.

— Cieszę się, że moja siostra wyjeżdża dzisiaj wieczorem w góry — powiedział Walter.

— Ale będzie wiedziała o wszystkim, co? Przecież w willi, tam w górach, mają telegraf?

— Ostatnio coś słyszałem, że się zepsuł. — Walter zabębnił palcami po kamiennym blacie stołu. — To oczekiwanie mnie wykańcza. Szkoda, że nie mogę po prostu unieść wzroku i zobaczyć, że to się dzieje, poczuć zaskoczenia i nie mieć czasu na to, aby myśleć.

— A co, jeżeli to się stanie dzisiaj wieczorem? — Bill rozdał wszystkim szklanki z chłodnym winem. Smażył na kuchence wielki omlet, z sosem pomidorowym i chrupiącym bekonem.

— Kto wie? — odparł Charlie.

— Przekazywali nam, że to może być ostatni radiogram, jaki nadszedł przed ich zamilknięciem.

Walter otworzył wielkie okno. Niebo było czyste, ciemne, wypełnione gwiazdami. Nad położoną u stóp wzgórza wioską, zawisła nieruchoma, milcząca duchota jakby zatrzymanego oddechu. W oddali, nieopodal linii horyzontu, pobłyskiwał kanał.

— Mars to zabawna planeta — zauważył Walter, wyglądając na zewnątrz. — Nigdy bym nawet nie pomyślał, że skończę żyjąc tutaj, parę milionów mil od domu.

W dole zabrzmiały czyjeś głosy; aleją zmierzały dwie przyćmione, zataczające się postaci.

— To idą Johnson i Remington — powiedział Walter. — Obaj są już nawaleni jak meserszmity. Boże, jak ja im zazdroszczę.

— Jeżeli byłaby jakaś chwila, w której nie chciałbym być pijany, to jest nią dzisiejszy wieczór — odparł Bill, wyciągając omlet na cztery kamienne talerze. — Gdzie jest twój syn, Walt?

Walter krzyknął przez okno, w ciemną wieczorną ulicę.

— Joe!

Po chwili, gdzieś z oddali odpowiedział mu cieniutki głosik.

— Mógłbym zostać jeszcze trochę na dworze, tato?

— Nie! — zawołał w odpowiedzi Walter. — Chodź na kolację!

— Ale ja nie jestem głodny — poskarżył się Joe, wspinając się już na tylne schody.

— Zjedz, i będziesz mógł wracać na dwór — obiecał mu Walter, kiedy wszyscy usiedli już do stołu.

Chłopiec, dziesięcioletni i jasnowłosy, spoglądał na drzwi i szybko zmiatał łyżką jedzenie z talerza.

— Zwolnij trochę — zasugerował mu ojciec. — Czy ktoś chce może jeszcze odrobinę wina?

Wino zostało rozlane w milczeniu.

Podczas kolacji, nie rozmawiali zazwyczaj zbyt wiele.

— Tato, mój talerz jest pusty; czy teraz mogę już sobie pójść?

Walter skinął głową i chłopiec wybiegł. Odgłosy jego kroków ucichły w głębi alei.

Bill spytał:

— On urodził się na Ziemi, tak?

— Nie. Tutaj, w Mars Village, w 1991. Jego matka rozwiodła się ze mną dwa lata później. Wróciła na Ziemię. Joe został tutaj; psycholog wskazywał, że podróż kosmiczna i zmiana otoczenia, byłaby dla niego zbyt ciężkim przeżyciem. Tak więc, został tutaj, ze mną.

— To musi być dla Joego ważna noc.

— Tak, jest bardzo podekscytowany. Oczywiście, dla niego to nic nie znaczy, po prostu kolejna rozrywka, coś nowego, innego.

— Czy moglibyśmy zmienić temat? — burknął Charles, znad swojego noża i widelca. — Która jest godzina? — Ktoś mu powiedział. — Jeszcze trochę wina — wysapał. Jego dłoń trzymająca butelkę lekko się trzęsła.

— Marsjanie robią dzisiejszej nocy dużą i głośną zabawę — powiedział Bill, pomagając sprzątać stół. — Nie mam im tego za złe. Przylecieliśmy tutaj naszymi rakietami, aby kolonizować Marsa, i nigdy ich nawet nie spytaliśmy, czy nas tutaj chcą. Charlie, ilu Ziemian jest teraz na Marsie?

— Tysiąc, nie więcej.

— No cóż, to czyni z nas niezłą mniejszość, nieprawdaż? Te dwa miliony Marsjan z pewnością zasłużyło na swoje święto, takiej nocy jak ta. Ogłosili ogólnoplanetarne święto! Dzieci mają wolny dzień w szkole i tego rodzaju rzeczy. Dzień Wielkiej Rozwałki, jak pewnie to nazwą. Fajerwerki i wszystko inne.

Wyszli na dwór, na balkon kamiennego domu, aby usiąść i zapalić papierosa.

— Jestem pewien, że dzisiaj to się nie stanie — oświadczył Charlie, uśmiechając się, na jego górnej wardze widać było pot.

— Nie oszukujmy samych siebie — stwierdził Walt, wyciągając fajkę. — Mój chłopak jest teraz w miasteczku, biegając i krzycząc z dzieciakami Marsjan na cześć wielkiego święta. On sam jest niemal Marsjaninem. Och, to będzie dzisiaj, na pewno.

— Zastanawiam się, co Marsjanie zrobią z nami.

Walt wzruszył ramionami.

— Nic. Boże, jak oni muszą się wspaniale czuć w tej całej sytuacji. Nie potrzebują nawet ruszyć palcem, ani urządzać żadnych fajerwerków, Marsjanie mogą sobie po prostu usiąść i przyglądać się całemu widowisku.

Sądzę, że pozostawienie nas przy życiu uznają za coś zabawnego; szczątki cywilizacji, która sama siebie wysadziła w powietrze.

Bill powoli wypuścił dym.

— Mój ojciec mieszka w Illinois, w Lake Bluff. Boże, jak on nienawidził Komunistów.

— Nie żartujesz? — krótko roześmiał się Charlie. — Latem 1980, kiedy miałem dwanaście lat, przejeżdżałem trzykrotnie przez Lake Bluff.

— Niech mnie diabli — stwierdził Bill.

Siedzieli w ciemności, ze świecącymi końcówkami papierosów. W oddali odgłosy bieganiny, okrzyki, śmiechy, stawały się coraz głośniejsze. Grała wesoła muzyka, słychać było huk petard i świst wybuchów. Na zewnątrz, w miarę jak cień pokrywał ulice, na wszystkich pochylonych kamiennych domach, migotały ogniki świec.

— Wchodzą na dachy, żeby obejrzeć przedstawienie — cichym głosem powiedział Billy. — Niektórzy wdrapują się nawet na wierzchołki okolicznych wzgórz. Mogą sobie zrobić z tego przyjemną noc; siedząc na wzgórzu urządzić piknik i zjeść lunch, w oczekiwaniu na wielkie widowisko, a nawet kochać się. Wspaniale.

— Miła noc. Czy ktoś z was był może kiedyś latem w Chicago? — spytał nagle Charlie. — Gorąco. Myślałem że umrę.

Wszystkie światła w miasteczku już pogasły. Na cichych wzgórzach ludzie obserwowali niebo.

— To zabawne — powiedział Bill. — Właśnie przyszła mi do głowy Central School w Mellin Town, w Wisconsin. Nie myślałem o niej od lat. Mieliśmy taką nauczycielkę, starą pannę. Nazywała się Larribee i… — przerwał, upił łyk wina i nie dokończył.

Po schodach wbiegł syn Walta, głośno sapiąc.

— Czy to już czas? — Klepnął ojca w kolano.

— Nie chcesz spędzić tej nocy z tutejszymi chłopcami? — spytał Walt.

— Nie, zostanę z tobą — odparł Joe. — Pomimo wszystko — wyjaśnił, — urodziłeś się w Nowym Jorku.

— Dzięki — powiedział Walt.

— Kto zaplanował to dzisiejsze widowisko, tato? Te fajerwerki?

— Niestety, nie wiem.

Na wschodzie wzeszła zielona gwiazda.

W dole, w miasteczku, podniósł się szmer.

— Tato, czy to na niebie, to Ziemia? Opowiesz mi o tym jak do tego doszło i o fajerwerkach, co?

— No cóż, stworzenie tego wymagało mnóstwa pieniędzy, ludzi i czasu.

— Jak długo to trwało?

— Pięćdziesiąt lat, jak mi się wydaje.

— To dosyć długo.

Walt trzymał syna. Na dworze, w alejach miasteczka pojawił się nocny wietrzyk, powolny i drżący.

— Niczego nie widzę — oznajmił Joe.

— Ćśśśś — wyszeptał jego ojciec. Wszyscy wstrzymali oddech.

Ziemia na niebie była jasna i zielona.

— Do diabła — powiedział Charlie. — Fałszywy alarm. Otworzę nową butelkę i … — zaczął unosić się z fotela.

Niebo eksplodowało.

— Tam! — krzyknął Bill.

Cofnęli się, gdy niebo zapłonęło białym światłem.

Ziemia, płonąc, gwałtownie się powiększyła, dwukrotnie, czterokrotnie, w stosunku do swoich normalnych rozmiarów. Ogień odepchnął ciemność, w ciszy, bez żadnego dźwięku. Jak wielka, zielono-czerwona flara, światło rozbłysło nad skierowanymi ku górze twarzami na wzgórzach, w oknach domów, na dachach, w dolinach, nad rzekami i długimi kanałami oraz nad wyschniętymi morzami. Biały ogień zapłonął na krótko w oczach trzech czekających mężczyzn.

Światło zgasło.

Ze zboczy wzgórz uniosło się potężne, radosne westchnienie, rozległo się dudnienie bębnów, okrzyki. Joe zwrócił się do swego ojca:

— Czy to już wszystko?

Trzej mężczyźni trzymali w opadłych rękach wygasłe papierosy.

— To już wszystko — potwierdził Walt. — Przedstawienie skończone.

— A kiedy będzie następne? — spytał Joe.

Walt pośpiesznie wstał.

— Posłuchaj synku, tu jest klucz do piwnicy. Biegnij na dół i przynieś tu cztery butelki wina. Bądź dobrym chłopcem. No, biegnij.

Siedzieli bez słowa na zimnym balkonie, czekając aż chłopiec przyniesie butelki z piwnicy.

KONIEC